ROZMAITOŚCI.

Dnia 10 kwietnia, Ner 15. roku 1847.

## MIŁOŚĆ I CHCIWOŚĆ.

Pan Mortimer byłto jeden z owych ludzi, którzy bez talentów i ukształcenia, jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności z najniższego szczebla ubóstwa wznoszą się na najwyższy szczyt bogactwa i poważania. Przykłady tego rodzaju zdarzają się ostatniemi czasy w kupieckiéj Anglii tak często, iż się im nikt już nie dziwi. To też i pana Mortimera zawód nie różnił się bynajmniéj od zawodu tylu innych dorobkiewiczów. Przy niezmordowanéj pracy i biernéj cnocie rzetelności, tudzież przy pomyślném zejściu się tysięcznych sprzyjających drobnostek, było jego wyniesienie się raczéj skutkiem przypadku niż istotnéj zasługi. Atoli świat, niepoprawny pochlebca bogaczów, i w ślepém szczęściu główną upatrujący zasługę; zwykł podobnych ludzi wystawiać młodzieży za wzór do naśladowania, i w najsamolubniejszém ze wszystkich usiłowań ludzkich, w robieniu majątku, uznaje talent, który ma na równy zasługiwać szacunek, jak talenta najjaśniejszych gwiazd na widokręgu umiejętności lub umnictwa.

W dziesiątym roku życia zbiegł był p. Mortimer z domu pracy w pewnéj odległéj wiosce północnéj Anglii, i po kilkutygodniowém błąkaniu się po kraju, zaszedł głodny, znużony i zziębnięty do Londynu. Tam, na jedném z najbrudniejszych przedmieść stolicy, obaczyła go uboga ale uczciwa kobiéta, utrzymująca mały sklepik warzywny, i ulitowawszy się opuszczonéj siéroty, wzięła ją do siebie, utuliła płaczącego chłopczynę, ogrzała i nakarmiła czém miała. Żyła ona niegdyś w lepszym bycie, lecz niebawem ubóstwo, choroba i śmierć zagościły w jéj kole domowém, wydarły jéj męża i dzieci, i już oddawna żaden węzeł rodzinny nie wiązał jéj do życia. Serce ludzkie, spragnione zawsze towarzyskości i tkliwszych wzruszeń, nieraz w najniestosowniejszych przedmiotach, pobudkę do miłości znajduje. Tak też i nasza biédna wdowa upatrzyła w wynędznionym chłopczynie jakieś podobieństwo do swego najstarszego, zmarłego synka. Jakoż w istocie wzmagało się w niéj to złudzenie codziennie silniéj i silniéj, przywiązała się serdecznie do siérotki, i czuwała nad każdym jego krokiem z tą czułą troskliwością, jakiéj tylko serce macierzyńskie jest zdolne. Częstokroć oko jéj zwilżało się łzami wdzięczności dla stwórcy, że ją na stare lata obdarzył żyjącą istotą, na którą najświętsze uczucie ludzkie, miłość macierzyńską zlać mogła. Również i chłopczyna okazywał szczerą wdzięczność dla swojéj dobrodziéjki, przywiązał się do niéj całą duszą, tak, iż stosunek ich był wzajemnym.

Z czasem usposobił się wychowanek wdowy White do posługiwania jéj przy pracy, pomagał jéj w sklepiku, i stał się wkrótce tak niezbędnie potrzebnym, iż poczciwa przekupka niemało się dziwiła, jak ona tak długo bez niego żyć mogła. Już chłopczyna dwa lata przy swojéj drugiéj matce się chował, gdy za staraniem dawnego przyjaciela przyjęto ją za czyścicielkę w pewnym domu bankierskim, przezco jéj położenie znacznie się polepszyło, a mianowicie nadarzyła się jéj uciecha przyodziania swego wychowanka w schludniejsze i zdrowsze suknie. Zarazem też i chłopczyna miał teraz większą sposobność przekonania ją o swojéj wdzięczności, i będąc już silnym i żwawym, brał wszystkie cięższe prace jéj nowego obowiązku na siebie, wytrzepywał dywany, czyścił biurka i stoły, i t. d.

Jednego razu, gdy wdowa White z banku już wyszła, musiał chłopczyna sam wrócić, aby jakieś zapomniane tam szczotki zabrać. Wtedy, poprawiając usunięty przypadkiem dywan, postrzegł pod nim pomięty banknot dwudziestofuntowy. Zamiast więc pospieszyć z nim do domu, został się w sali, i czekał tak długo, aż nadszedł dyrektor banku, a zapytany, coby tak późno tu robił, powiedział dyrektorowi, co znalazł, i że chciał oddać wprzódy banknot nim wyjdzie, aby nie myślano, że zamierzał go ukraść.

Zapewne już czytelnik dalszego ciągu się domyśla. Od téj chwili gotowa już była fortuna chłopczyny. Dyrekcyja banku wynagrodziła go bardzo rozsądnie, oddając go swoim kosztem do szkoły handlowéj. Wyszedłszy z niéj, został on chłopcem

komtuarowym, po pięciu latach komisantem, a wreszcie, gdy miał dopiero lat 26, przyjęto go do spółki w spekulacyjach bankowych.

Po wielu latach zdarzyło się, iż pan Mortimer— takie bowiem nazwisko przybrał był przy wyjściu z akademii handlowéj — sprzeciwiał się uporczywie znacznéj pożyczce zagranicznéj, o którą bank się układał. Skutkiem tego nieporozumienia było, że dawny posługacz bankowy cofnął swój kapitał z banku, i w pięćdziesiątym roku życia, mając 90 000 funtów szterl. majątku, i będąc przytém żonatym, osiadł w pobliżu widowni naszéj powiastki. We trzy lata odumarła go żona, zostawiając mu tylko jedynaczkę córkę Emelinę, która właśnie rok dziewiętnasty liczyła, a była piękną, dobrze wychowaną, i posażną.

Możemy sobie łatwo wyobrazić, iż taka wygrana w loteryi życia, miała niemało ochotników, którzy o nią się ubiegali. W istocie też zgłaszało się wielu u ojca Emeliny o jéj rękę, ale żaden jeszcze nie postąpił daleko w swojéj sprawie, gdyż zachodziła trudność, o jakiéj wielbicielom pięknéj córki bankierskiéj ani się śniło, trudność jakiéj najbujniejsza nawet fantazyja nie byłaby wymarzyła. Wszyscy zalotnicy Emeliny byli najmocniéj przekonani, iż ten, na kogo jéj wybor padnie, wraz z jéj ręką, bogatą otrzyma sumę, a nie będzie zmuszonym takową sam zapłacić; przeto odstępywał jeden po drugim z oburzeniem od targu, który im wszystkim wydawał się jeżli nie oszukaństwem, tedy prawie obrazą. Wszakże stary Montimer nie miał ani obrazy ani oszukaństwa na celu; byłoto jedném z owych przywidzeń, jakie często w płytkich głowach się wylęgają — przywidzenia zaiste dziecinne i obojętne, gdyby nieraz szczęście lub nieszczęście innych ludzi od ślepéj woli takiego jak Mortimer człowieka nie zawisało. Widzieliśmy, iż był bogatym, lecz niedość jeszcze bogatym według jego zdania. Wytknął on sobie w téj mierze cel pewny, i byłby go już dawno osiągnął, gdyby nie owo zdarzenie, które go nagle do wystąpienia z banku zniewoliło. Widzieliśmy także, jak bez wszelkiego uczucia wdzięczności dla tych, których opieka wywiodła go z ubóstwa i zamożnym kapitalistą uczyniła; cofnął swoje pieniądze z banku, lubo to jego spólnikom wielką stratą groziło. Czego więc spekulacyjami bankowémi dopiąć nie mógł, to zamierzył uskutecznić za pomocą swéj córki. Powiedział sobie: nie umrę wprzódy, aż nie będę miał 100.000 funtów szterl. majątku; a jeżli Emelina ma pójść za mąż, tedy stanie się to chyba dopiéro wówczas, gdy zbiorę ową sumę.

Dla dopięcia swojego celu, żądał on od każdego zalotnika swojéj córki 10.000 funt. szterl., które panu Mortimer w dzień ślubu wypłacone być miały, za co on tylko prostém przyrzeczeniem obowiązywał się, zostawić swój znaczny majątek Emelinie. Łatwo sobie wystawić można, iż dobra i piękna Emelina z niechęcią temu kupieckiemu przywidzeniu ojca się poddawała; lecz była ona od dzieciństwa do posłuszeństwa przyzwyczajoną, i nigdy jéj przez myśl nie przeszło, pójść za mąż bez zezwolenia ojca. Ze wszystkich wielbicieli jeden tylko tkliwe w niéj wzniecił uczucie; jakoż kochała go z całą głębią namiętności, jakiéj tylko serce kobiéce jest zdolném; atoli właśnie ten wybór kochanka sprzeciwiał się zamysłom ojca.

Karol Stanley był jedynym synem obywatela w sąsiedztwie, który dawno już umarł, poruczywszy syna swego opiece bogatego wuja, starego kawalera, po którego śmierci Karol majątek jego miał odziedziczyć. Własna fortuna Karola nie przewyższała sumy 5000 funt. szterl., z któréj dochodów żył on dotąd po większéj części w swojéj ojczystéj posiadłości, graniczącéj z znaczniejszą majętnością pana Mortimera. Jestlo zbyt małéj wagi dla naszéj powiastki, kiedy, i w jaki sposób, kochankowie po raz piérwszy się poznali; dość nadmienić, iż miłość ich była czystą i szczérą. Z każdym dniem wzmacniał się bardziéj węzeł, który ich łączył, a wzajemne zaufanie chroniło ich od zwątpienia i obawy.

Wreszcie nadeszła chwila, która kochankom błogie szczęście świéżéj ich znajomości zamącić miała. Młody Stanley udał się z męzką otwartością do ojca Emeliny, i oświadczył mu — co ten już dawno wiedział, — że kocha jego córkę, i spodziéwa się wzajemności; zarazem przedłożył Karol panu Mortimerowi stan swojego majątku, opowiedział mu, że jest pewnym odziedziczenia fortuny wuja, a wreszcie ozwał się z prośbą o rękę Emeliny.

Stary bankier wysłuchał go spokojnie, i odrzekł, iż nie ma nic przeciw temu, że owszem daje chętnie Karolowi pierwszeństwo przed każdym innym młodym człowiekiem, ilu ich jest w całéj Anglii, rozumié się, jeżli młody Stanley dopełnić może wyznaczonego warunku; to jest: jeżli ojcu w dzień zaślubin 10.000 funt. szterl. wypłaci — bez czego pan Mortimer oświadczył się nie zezwolić na wydanie córki za niego. Na próżno ofiarował Karol swoich 5000 funtów, na próżno nawet zrzékał się wszelkich praw do posagu Emeliny; pan Mortimer był nieprzebłaganym. „Albo dopełń warunku, albo wszelkie układy — zerwane; a dopokąd nie otrzymam od pana stanowczéj odpowiedzi; musisz zaniechać dalszych odwidzin w moim domu.”

Wzruszony gwałtownie tak niespodzianém przecięciem wszelkich swych nadziej, pozbawiony widoku téj, która sama jedna ciężki jego smutek ukoić mogła; opuścił Stanley dom bankiera, nie wiedząc prawie, dokąd rozpacz go gnała. Nagle przyszła mu do głowy myśl o wuju, który, jakto Karol

mniemał, ani chwili z pomocą ociągać się nie będzie, dowiedziawszy się, iż tu o szczęście ukochanego siostrzeńca chodzi. Młody Stanley postanowił więc nie tracić czasu, lecz pospieszyć natychmiast do Londynu, oznajmić wujowi swoje uczucia dla Emeliny i osobliwsze żądanie jéj ojca, a wreszcie uciec się do spaniałomyślności swego jedynego przyjaciela i krewnego.

* * *

Pan Teofil Brownlow, rodzony brat matki Karola, przechadzał się wolnym krokiem po ciemnym tylnym pokoju, w którym według długoletniego zwyczaju większą część dnia przepędzał, a który zawsze jeszcze nazywał się komtuarem, lubo pan Brownlow już dawno od spraw giełdowych się usunął, i tylko w bardzo ważne dla niego dnie wypłacania dywidendów, zwykły spoczynek swój przerywał. Bądź co bądź, zawsze jeszcze komtuar był komtuarem, i wyglądał jakby w nim ciągle interesa bankowe prowadzono; jakoż i panu Teofilowi Brownlow pochlebiało to niewymownie, iż był w ten sposób zawsze na swojém stanowisku, jakby czynny jeszcze spekulant. Bo też w istocie nie był pan Brownlow nieczynnym; owszem nie był on może nigdy tak zatrudnionym, jak właśnie w téj chwili; toczył bowiem zawziętą walkę z licznym rojem much, który w jego świątyni się zagnieździł. W jednéj ręce trzymał giętki pręt bambusowy, w drugiéj kawałek krédy; pręt służył mu do mordowania nieprzyjacioł, kréda do znaczenia na biurku liczby poległych. Wtém otworzyły się drzwi, i wszedł siostrzeniec pana Brownlow, mówiąc:

»Ach, mój najukochańszy wuju! Jakże rad jestem, że...»

„Sto dziewięćdziesiąt! Stój, szałapucie! Zgubiłem liczbę przez ciebie” — i przystępując do biurka, napisał jeszcze raz całą liczbę poległych — „sto dziewięćdziesiąt; a teraz było trzy, tak trzy; lubię dokładność w rachunkach.” — Poczém złożył broń swoję, uścisnął Karola serdecznie za rękę, i rzekł, że się mocno cieszy widzieć go u siebie.

„Ale cóż cię przywiodło do stolicy? Ach, patrzno, co za ogromna mucha! To zapewne brygadyjer téj piekielnéj armii! Poczekaj, zaraz damy ognia do niego!» — I chwyciwszy pręt, jął znowu ścigać nieprzyjaciela z całą zręcznością doświadczonego jenerała; aż mucha u nóg mu trupem padła. »A co! mamy go! Znowuż jedna! No, i cóż przywiodło cię do stolicy? A pamiętaj: że o saméj drugiej godzinie jadam. Oto jeszcze jedna! i jeszcze jedna! Pójdź, pójdź, nie trzep skrzydłami! Znowuż cztéry!”

„Gdy kochany wujaszek zaprzestanie nieprzyjacielskich kroków przeciw swoim zbuntowanym poddanym, i zawrze z nimi pokój lub rozejm na chwilę, opowiém co mnie do niego sprowadza.”

„Zaraz, zaraz. Patrz-no, jak ja doskonale używać umiem tego narzędzia, które w innych ręku na nicby się nie zdało; ale właśnie ta jego gibkość, chociaż może dla kogo innego niedogodną, dla mnie największą jego zaletę stanowi. Pięć, sześć, siedm! Patrz-no mój Karolu, ledwie się dotknę głowy — ośm! — a już po musze! Dziewięć! Cięcie w tylną część głowy, jest pewną śmiercią — dziesięć — i nie sprawia żadnego bolu! Wszystko się w jednéj chwilce kończy!»

Któż wié, czy to małoco znaczące postrzeżenie, nie stało się tajemną pobudką, która duszę człowieka do zbrodni skłoniła? Jakieżto nieraz krwawe, okrutne zdarzenia, nieobliczone skutki, jedno niebaczne słowo wywołało! — skutki, o których zapewne tym, co to słówko wyrzekli, ani się śniło. Takowe słowa nie wywiérają w piérwszéj chwili żadnego prawie wrażenia; ale późniéj biorą górę nad szlachetném z natury sercem do tego stopnia, że je do czarnéj, najohydniejszéj zbrodni podszczają.

„Dość!” — ozwał się wreszcie pan Brownlow, składajac pręt bambusowy. »Ubiliśmy jeszcze dwanaście! Teraz zróbmy zawieszenie broni, i obliczmy się. Padło razem 329 much; dzieląc tę sumę przez 60, otrzymujemy $5\frac{1}{2}$ na minutę; wcale nieszpetny plon w godzinie. Widzisz, tam w kącie leżą poległe trupy» — a mówiąc to, wskazał na kupę nieżywych much, które zmiótł był pod oknem. „Teraz, Karolu, pójdźmy do drugiego pokoju, i przekąśmy co, nieprawdaż?»

Posłuszny siostrzeniec poszedł w milczeniu za panem Brownlow.

„Dziesięć tysięcy funtów za córkę!» — zawołał wujaszek, zajadając śniadanie. — „A to łotr stofuntowy! Chociaż właściwie nie łotr, bo jestto uczciwy zresztą człowiek w swoim sposobie. Aleź przecie jemu, który z niczego się dorobił, żądać 10.000 funt. za swoję córkę, to bezczelność! Ani 10 szylingów nie dostanie! Wiém ja, czego on chce, ale zjé mi kata, nim na swojém postawi. Nie zapomnę ja mu nigdy, jak on się obszedł ze mną, i chociażbym go z czyśćca mógł wybawić, nie uczyniłbym tego.”

„Proszę cię, kochany wujaszku” — przejął Karol, który w tym dawnym swarze niespodziéwany promień nadziei upatrywał — »bądź też łaskaw powiedzieć mi, co to między wami właściwie zaszło. Zapewne tylko jakieś nieporozumienie?»

»Nieporozumienie!» powtórzył stary wzgardliwie. »O, daleko coś więcej! Zaraz ci to opowiém Przed kilką, ba, kilkunastą laty, miéwałem ja różne stosunki z bankiem, do którego pan Mortimer należał. Owoż ułożyłem się był z nim w bardzo pomyślny

sposób o pożyczkę, którą ich bank u mnie zaciągnął. Dla dostarczenia pieniędzy, sprzedałem znaczną ilość papiérów, i sam wielką sumę u mego bankiera pożyczyłem. Aż tu na drugi dzień posyłam do ich banku asygnacyję, na któréj pięć funtów za wiele stało, a ten nikczemny człowiek, ten Mortimer nie chciał ją przyjąć, i odpowiedział oddawcy, zamożnemu obywatelowi londyńskiemu, iż asygnacyja — fałszywa. Ale to mi bynajmniéj nie zaszkodziło, gdyż byłem znany w giełdzie jako człowiek majętny, owszem — bogaty." Tu pan Teofil Brownlow uderzył potężnie pięścią w stół, dla nadania większéj dobitności swojemu zdaniu. »Tak jest, byłem bogatym, Karolu, i mógłbym był tego Mortimera całego kupić. Dziś jednak nie jestem już tak bogatym, straciwszy kilka kroć.... Mniéjsza o to! Mam jeszcze dość dla siebie i dla ciebie. A tu, Karolu, patrz, dziesięć banknotów w pugilaresie; każdy po tysiąc funtów. Właśnie tyle, co ten łotr żąda. Chowam to od pół roku, aby je w dzień ślubu dać twojéj żonie; gdyż słyszałem o téj rzeczy, i upodobałem sobie dziewczynę. Lecz co się jéj ojca tycze, sam go muszę odwiedzieć."

„Tegoto właśnie kochany wuju, pragnąłem" — rzekł młody Stanley.— „Może twój wpływ umiarkuje żądanie jego, i skłoni go do zastanowienia się nad swoją brzydką chciwością; zwłaszcza, że tu o szczęście jego córki chodzi."

„Tak i ja sądzę, mój kochany» — odpowiedział pan Brownlow. — „A ponieważ dyliżans o piątéj godzinie odjeżdża, więc udamy się tam bez odwłoki dziś wieczorem, i rozmówimy się z nim dnia jutrzejszego, tak abym poza jutro mógł wrócić do moich interesów."

Stosównie do téj umowy wsiadł wuj z siostrzeńcem na dyliżans, a stanąwszy o dziesiątéj godzinie w wieczór u bocznéj dróżyny, wysiedli obaj z powozu, aby pójść piechotą do poblizkiéj, ustronnéj wioski Westerham, gdzie młody Stanley mieszkał.

Noc była piękna i gwieździsta, a idąc tak razem do ojczystéj siedziby Stanley'a, oddalonéj o kilkaset kroków od nieco arystokratyczniejszego dworu pana Mortimera; rozprawiał pan Teofil Brownlow wiele i nadzwyczajnie żywo, w chęci rozweselenia tém melancholii siostrzeńca, który im bliżéj domu pana Mortimera, i widowni swojéj minionéj szczęśliwości, tém smutniéj i posępniéj wyglądał.

Droga do wsi była po obu bokach gęstémi krzakami kasztanowémi i dębiną ocieniona. Opodal wznosiły się poczerniałe rozwaliny chaty, która przed wielą laty pogorzała. Cienie nocy nadawały jéj tajemniczego widoku, jakiego bynajmniéj w dzień nie miała.

»Niebezpieczneto miejsce, Karolu" — ozwał się pan Brownlow — wygląda, jakby siedliskiem złodziei i zbójców było."

„W saméj rzeczy, pozór mówi za tém, dość tu samotnie i ponuro" — odrzekł siostrzeniec — »lecz nigdy jeszcze o żadnym tu przypadku nie słyszałem." —

Dobra wieczerza w domu młodego Stanley'a i wesoło płonący ogień na kominku — gdyż byłoto w późnéj jesieni — wynagrodziły zacnemu spekulantowi trudy wieczornéj przechadzki, a nazajutrz, o trzeciéj godzinie z południa, kazał się pan Teofil Brownlow oznajmić u pana Mortimera. Co tam pomiędzy nimi zaszło, da się najlepiéj odgadnąć ze skutków, jakie późniéj u drzwi mieszkania pana Mortimera się okazały. Zaledwie bowiem mała godzina upłynęła, został pan Brownlow przez dwóch służących niebardzo grzecznie ze schodów sprowadzonym, zaco stary wujaszek, swoich nieproszonych przewodników, tak mocno laską okładał, że obaj, stanąwszy z nim u drzwi, czémprędzéj uciekli. Wszakże ten oczywisty tryjumf pana Teofila Brownlow wcale go nie zadowolnił, gdyż obzierając się poza siebie, ujrzał szyderczą minę pana Mortimera, przypatrującego się z okna biblijoteki zniewaženiu swego kolegi. Mruknął więc kilka słów ze złością, zapiął surdut, i udał się szybkiémi kroki do mieszkania swego siostrzeńca

Z gorzkiém uczuciem zawiedzionéj nadziei ujrzał go tenże wracającego do domu. Nie wiedzieć, jaką nato rozmowę z sobą mieli; to tylko pewna, iż uporczywość, z jaką Karol przy zamiarze poślubienia Emeliny obstawał, w najwyższym stopniu wuja rozgniewanego obruszyła; wyłajał swego siostrzeńca, jako miękkiego niewieściucha, nie mającego w sobie iskry honoru, i kazał zanieść swój tłómoczek do gospody, zkąd wieczorem chciał wyjść na spotkanie dyliżansu, aby nim do Londynu powrócił.

Wkrótce po oddaleniu się wuja, otrzymał młody Stanley następujący list od pana Mortimera:

„Mimo nieprzyzwoitego znalezienia się wuja pańskiego, mam zawsze jeszcze osobisty szacunek dla pana, a jeżli do jutrzejszego południa będziesz mógł dopełnić wiadomego warunku, tedy otrzymasz rękę méj córki; w przeciwnym razie zaś, poślubię ją komu innemu, którego także poważam. Najniższy sługa James Mortimer.«

Do tego listu był załączony bilecik Emeliny, w te słowa:

»O, mój drogi Karolu! Szczęście nasze na zawsze zniszczone. Twój przychylny nam, ale niebaczny wuj, przyspieszył naszę zgubę; mój ojciec jest oburzony, i rozkazuje mi przyjąć jutro rękę starego pana Danville. Złożył on u mego ojca asygnacyję, mającą być wypłaconą jutro, skoro twoja ostateczna odpowiedź nastąpi. Boże zlituj się nad

moją niedolą! Jestem zanadto słabą, abym się mogła sprzeciwić okrutnemu żądaniu ojca, a niémam znikąd pomocy, ani rady przyjaznéj. Zapomniéj więc o twojéj nieśmiałéj, ale aż do śmierci wiernéj ci Emelinie.»

Na próżno byłoby opisywać smutek i wściekłość Karola po wyczytaniu téj wiadomości. Biegał on jak szalony po pokoju, i bijąc się pięścią w czoło, wołał:

„Jako! Miałożby moje szczęście, miałażby spokojność Emeliny stać się ofiarą ślepego przywidzenia dwóch starych, uprzedzonych głupców, w których piersi wszelkie życie, nadzieje i zaufanie oddawna już wygasły — ? Nie, nie! Emelina będzie moją, przysięgam!" — Poczém zatrzymawszy się nagle, rzucił obłąkanym wzrokiem wokoło, i mówił stłumionym głosem daléj: „Jedno uderzenie w tylną część głowy, jest pewną śmiercią! Ha! Sam to wyrzekł! — I ma właśnie wyznaczoną za nią sumę przy sobie! — Jestto mój wuj.... Nie, nie! On sam zerwał węzeł pokrewieństwa, ściągnął hańbę na moję głowę! I — jażbym się miał wahać! O, mój Boże, mój Boże! Okropne przedsięwzięcie! Ależ okropniejszą jeszcze ta myśl, widzieć Emelinę w objęciach tego obrzydliwego starca Danvilla! Nie, tego nie dozwolę! Nigdy, przenigdy!"

A mówiąc to, wziął listy ze stołu, pobiegł szybko do sypialnego pokoju, zamknął się, i został tam samotny aż do północy.

Z wieży na kościółku wiejskim wybiła właśnie jedynasta godzina, gdy pan Brownlow z małym tłómoczkiem pod pachą i sękatą laską w ręce, opuszczał gospodę pod „lwem czerwonym," wybierając się w drogę na spotkanie dyliżansu. Noc była ciemna, zimny wiatr dął od zachodu.

»Nie możesz pan zmylić drogi"— mówił gospodnik do pana Brownlow, wyprowadzając go ze światłem. »Weź się tylko na prawo, minąwszy pogorzałą chatę, a staniesz w sam czas na miejscu, w którém o wpół do dwunastéj poczta przejeżdżać będzie. Albo może wyprawić posługacza z panem?»

Pan Brownlow nie przyjął ofiarowanego mu przewodnictwa, i puścił się sam w drogę. Minąwszy kościół, zeszedł z głównéj drogi na ścieżkę, gdzie przyboczne krzaki od wiatru go zasłaniały. Idąc żywo naprzód, odginał laską zwisające ponad sobą gałęzie, częścią dla ułatwienia sobie przejścia, częścią też, aby nadać inny kierunek myślom, bo chociaż sobie tego wyznać nie chciał, przecież niepodobała mu się ta samotna przechadzka w tak późnéj dobie. Nie wiedzieć, czy to przypomniawszy sobie przykre wrażenie, jakie owa pogorzała, gęstémi zaroślami otoczona chata, wczoraj na nim sprawiła, czy to z innego powodu; dość że pan Brownlow w pobliżu jéj, nagle się wstrzymał, i bacznie wokoło poglądając, z cicha się ozwał:

„Jestto odrażające pustkowie! Ale cóż robić, trzeba je przeminąć." — Poczém stuknąwszy laską o ziemię, jakby dla dodania sobie odwagi, szedł daléj. W téj chwili wyskoczył jakiś człowiek z zarośli, i zadał mu gwałtowny cios kosturem w tylną część głowy, od którego starzec padł natychmiast bez życia; morderca zaś przewróciwszy martwe ciało na wznak, ukląkł przy niém, i ścisnął nieszczęśliwéj ofierze gardło obiéma rękami, a potém, wziąwszy trupa, zaniósł go do poblizkich ruin pogorzałéj chaty. Tam w najciemniejszym zakątku złożył swoje bezduszne brzemię, oparł się o ścianę, i odetchnął głęboko. Drżał na całém ciele, a zimny pot ciekł mu z czoła. Ale nie było czasu do wypoczynku, wiedział o tém dobrze nieszczęśliwy. Zbliżył się więc mimo wstrętu i wzdrygnienia do zabitego, rozpiął mu suknie, i wypróżnił kieszenie, w których pełna kieska i pulares z banknotami się znajdywały. Następnie wyszedł na dwór, gdzie na drugim końcu chaty, przyniesionym umyślnie na to ryskalem, zaczął dół kopać. Ziemia była twarda i opoczysta, a ile razy rydel o kamień dźwięknął, tylekroć śmiertelna trwoga nim wstrzęsła, i z stłumionym oddechem słuchał, czy go dźwięk rydla nie zdradził. Co chwila ustawał w pracy, aby sobie pot otarł z czoła, który rzęsistémi kroplami kapał na ziemię.

Już dwie godziny, dwie okropnie długie godziny upłynęły, a praca jego nie była jeszcze skończoną. Nareszcie zaczął się już mrok nocny wycierać, i dwie jasne gwiazdy zabłysły na niebie, jakby mściwych ócz dwoje, mających wydać świadectwo o jego czynie. I z każdą chwilą coraz więcéj gwiazd śród chmurnéj rozbłyskało obsłony, zniewalając zabójcę do zawieszenia na chwilę swojéj pracy, i spozierania z trwogą na coraz jaśniejsze niebo; a gdy wkrótce słaby brzask wschodzącego księżyca, jakby promiennym rąbkiem, krawędzie obłoków ozłocił; przestraszony morderca chwycił się co żywo do rydla, i podwoił usiłowania. Jeszcze godzina minęła, nim robota dosięgła kresu. Aż potąd odwracał zabójca starannie oczy od kąta, w którym trup leżał; ale teraz trzeba mu było koniecznie spojrzéć w tę stronę, aby swojéj okropnéj pracy dokonać. Nadto jeszcze księżyc, jakby duch mściwy, rozdarł chmur zasłonę, i noc w biały dzień zmienił. Gdy jasny strumień promieni na tylną część chaty spłynął, piersi mordercy konwulsyjnie się wstrzęsły, i omało na głos nie wskrzyknął, rzuciwszy okiem na trupa swojéj ofiary, który zimny i skośniały we śnie śmiertelnym leżał, podczas gdy blask księżyca siniawe jego lica i ścliste oczy, przeraźliwie oświetlał. Morderca odetchnął głęboko, by zachwycił powietrza, a wszystkie w nim nerwy zadrgały. Z całém wytężeniem rozpaczy stłumił w sobie trwogę, i przechylił się nad trupem; lecz mu-

siał się znowuż ze wzdrygnieniem w tył cofnąć, gdyż nie mógł znieść osłupiałego wzroku martwéj nieboszczyka źrenicy. Nareszcie przemógł o tyle zgrozę, iż zarzuciwszy chustkę na twarz trupowi, zawlókł go za nogi do grobu. Tam zasypawszy go ziemią, okrył wypełniony dół darnią, przytłoczył ją nogami, i wyrównał wszystko tak starannie, iż nie pozostało żadnego śladu. Poczém zdjął duże ciężkie bóty, które miał przy téj pracy na nogach, a wdział czyste, lekkie trzewiki. W końcu wylazłszy przeciwną stroną przez okno z chaty, zbiegł na łąkę, przytykającą do gościńca. Byłato już czwarta godzina zrana, i potrzebywał więc prawie dwóch godzin, aby to ukryć, co jego ręka w jednéj krótkiéj chwili sprawiła. Odetchnął cokolwiek świéżém powietrzem po téj nieszczęsnéj pracy, a potém zniknął w cieniach lasu.

* * *

„Czy pan jeszcze spisz?... Mości Stanley!" — wołał stary sługa, pukając następnego poranku do drzwi kochanka Emeliny. »Jest tu do pana list« — dodał donośniejszym głosem starzec, słysząc jakiś szelest w pokoju, »List od panny Mortimer; nadszedł jeszcze wczoraj; lecz mimo głośnego pukania, nie mogłeś mię pan dosłyszéć, a ja nie chciałem pana ze snu budzić.«

Teraz dopiéro odsunął młody Stanley zasuwkę u drzwi, i wziął list od starego sługi, który mimowolnie przemówił: »Jakże pan blado wyglądasz, panie Karolu! Czyś pan nie chory?«

„Nie, mój kochany Johnie. Jestto przemijający ból głowy. — I kiedyż ten list przyniesiono?"

»Wczoraj w wieczór, około jedénastéj godziny; już pan spałeś.«

»Nie słyszałem kiedyś pukał; byłem w twardym śnie zapewne.«

„Bez wątpienia, gdyż dość głośno pukałem."

»Każ mi natychmiast osiodłać konia« — rzekł młody Stanley; poczém rzucił się w krzesło, i rozpieczętował list Emeliny.

Wielkie nieba! czemużto oczy jego tak srogo w list się wpatrzyły, jakby z głębi swojéj wyrwać się chciały? Potrzebywał zaledwie małéj chwilki, aby wyczytał nieliczne słowa listu, ale ktoż zdoła zgłębić nadmiar boleści, która w tak krótkim czasie serce jego rozdarła. Upuścił list na ziemię, zakrył sobie twarz rękami, i padł napół nieżywy.

Dla zaspokojenia naszych czytelników, pragnących może wiedzieć, coto za przyczyna tak gwałtowny smutek sprawiła, dopuścimy się ciekawości służącego, który położywszy pana w łóżko, i wezwawszy lekarza, przeczytał ów list złowrogi. Był on bardzo krótki, i tylko te słowa zawiérał:

„O Karolu, drogi Karolu! Mój ojciec, mój nieszczęśliwy ojciec — już nie żyje. Przed półgodziną, umarł przy moim boku, paraliżem tknięty. O, przybywaj, przybywaj pocieszyć mię! Nie mam już nikogo, komubym zaufać mogła, ktoby mi był opiekunem — nikogo, jak tylko ciebie! Twoja Emelina."

* * *

»Teraz czuję podwójną słodycz naszéj miłości; mój drogi Karolu, gdy niebo ojca mi odebrało! Chociaż jego postępowanie z nami było cokolwiek dziwaczne i nieprzyjaźne, przecież wiém, iż cię zawsze poważał; a teraz, kiedy już żadna przeszkoda szczęściu naszemu nie zagradza; przychylna pamięć twoja dla niego, zda mi się zbliżać nas ściśléj do siebie, niżby to lata spólnego pożycia mogły były uczynić. Ale, o, jakże tęskniłam za tobą w czasie twojéj choroby, jakże liczyłam chwile, i tylko o tobie w bezsennych myślałam nocach, nie znajdując nigdzie pociechy, prócz w modłach, jakiémi niebo o twoje wyzdrowienie błagałam.«

Tak mówiła, myślała i czuła blada, lecz piękna Emelina, siedząc nazajutrz po pogrzebie ojca, przy boku swego kochanka, który dopiéro wczoraj po raz piérwszy wstał z łóżka, aby śmiertelne zwłoki ojca swojéj kochanki, do grobu odprowadzić.

Atoli nigdy może dłoń wszystko pożérającego czasu, tak okropnych śladów zniszczenia na ludzkiém nie wyryła obliczu, jakie ta krótka, kilkudniowa choroba, na twarzy i w całéj osobie młodego Stanley'a pozostawiła. Pobladł, zposępniał; uśmiéch, który niegdyś na jego pogodném licu jaśniał, teraz tylko jeszcze smutniejszego wyrazu mu dodawał; w głosie jego, który niegdyś jak strojna muzyka, brzmiał pełno i dźwięcznie; dziś stroskana kochanka dostrzegała jakichś szorstkich, niemiłych tonów. Jednak to wszystko, jakoteż i mnogie inne zmiany, które jéj baczne oko i ucho w nim odkrywały; miała ona za skutki osobliwszéj, nagłéj choroby. Zdało się jéj przecież, iż Karol rychło znowu odżyje, że harmonija głosu jego i jasność lica powrócą, i chciała go też kochać z podwojoną mocą za te wszystkie przykre doświadczenia przeszłości. Tak, dzięki gibkości młodocianych umysłów, która zawsze ciemną stronę żywota w głąb usuwa; wierzyła tkliwa dziewczyna w rychłe przywrócenie kochanka do zupełnego zdrowia i rychłe też przywrócenie spodziéwanego szczęścia.

O, błoga złudo młodości! Ktożby nie dał chętnie całe życie doskonałego szczęścia za to, aby jeszcze raz doznał owych dawnych, świéżych, wonnych uczuć młodzieńczych!

Poufną pogadankę kochanków przerwało niezapowiedziane wnijście cztérech mężczyzn, z których trzéj byli blizkimi sąsiadami, piastującymi publiczne urzędy, i obecnymi wczorajszemu pogrzebowi; czwartego, ani Karol ani Emelina nie znali.

(Dokończenie nastąpi.)

## Wiadomości literackie.

**Ze Lwowa:** *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 14ty i zawiéra: 1) Hieronima Kunaszewskiego, płodozmian ogrodowy. 2) Dziesiąte zgromadzenie podróżującego towarzystwa niemieckich gospodarzy rolniczych. 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 4) Uwiadomienie.

*Dziennika mód paryzkich* pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 8my i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Kronika literacka. 3) Rozmaitość.

*Biblioteki nauk. zakładu imienia Ossolińskich* zeszyt 3ci zawiéra: 1) Ksiądz Piotr Skarga; szkic historyczno-literacki, przez W. A. Maciejowskiego. 2) Spostrzeżenia nad językiem polskim, przez Adama Kłodzińskiego; ciąg dalszy. 3) Przegląd dzieła: Listy o Szwecyi, pisane przez Eustachego hr. Tyszkiewicza. 4) Z dramatu historycznego: Jerzy Lubomirski, przez K. Szajnochę, akt 1 5) Rozmaitości. Nowo wyjść mające dzieło geologiczne Ludwika Zejsznera. Korespondencyja z Krakowa. Sprostowanie wiadomości o Wapowskim.

---

Niektóre światowładne drobnostki. Za proch strzelniczy byłby sam Harun-al-Raszid albo Karol wielki nie dał z początku ani grosza; a przecież ten proch późniéj narody i państwa zburzył. Przez długie wieki walały się gałgany w błocie, wzgardzone i pomiatane, aż wreszcie papiér z nich robić zaczęto. Podobnież i czernidło drukarskie doszło niespodzianie swojéj dzisiejszéj wziętości i potęgi. Guano jest tylko gnojem ptasim, a jednak wzbogaca wielu kupców. Opijum było niegdyś skromném lekarstwem, wszakże w naszych czasach ten usypiający napój przebudził »niebieskie państwo środkowe« ze snu czterystuletniego. Dziś ono przecieéra sobie oczy i widzi z podziwem, jak cywilizacyja europejska przez jego mur chiński przełazi, i zamarły naród nowém życiem przenika — z czego snuje się daléj pasmo nieskończonych skutków. Porzucony krzemień jest antenatem frauenhoferowskiego refraktora, jakoteż olbrzymich teleskopów Herszla i hrabi Rosse, za pomocą których w botanice niebiańskiéj, w astronomii, nowe systemy słoneczne poodkrywano. Para i gaz są jeszcze niedawnémi, a już tak wielmożnemi dorobkiewiczami. Ziemniaki były oddawna ulubionym pokarmem tysięcy uczciwych ludzi, istotną manną ubóstwa. Mówiono o nich wprawdzie, lecz dzienniki mało się nad niemi rozpisywały. Nie jeden sławny w potomności człowiek, musiał o wiele naprzód umrzeć, nim się świat o jego dobroczynném życiu rozgadał. Tak też ma się rzecz niejako i z ziemniakami. Dopiéro śmiertelna zaraza, która ostatniémi czasy na nie przypadła, i wynikły ztąd onych niedostatek, sprawiły, iż ludzie o ziemniakach prawią i piszą, a lekarze, jak za czasów cholery, w celu zbadania ich choroby podróże podejmują. I wiele się jeszcze uczeni o nich nagadają i napiszą, aż wreszcie więcéj będziem mieć książek, niż zdrowych ziemniaków, a ta pożywna, wyśmienita strawa, stanie się tak rzadką w Europie, jak za czasów Szekspira, kiedy tylko bogacze na swoich stołach ją mieli. Należałoby się przeto zawczasu o inne surogaty ziemniaków postarać. Są takiémi korzeń manijokowy, drzewo chlebowe, i sybirski krzew grochowy. Chemija i medycyna mało w téj mierze pomogą; tylko po rozsądnéj ekonomii politycznéj i szlachetnéj miłości bliźniego, można się czegoś spodziewać.

Dla rozeznania istotnéj śmierci od letargu doradza belgicki uczony Maindel następujący środek: Wypalić istotnie lub pozornie zmarłemu gdziekolwiek na ciele małą ranę węglem rozżarzonym albo żelazem rozpalonym. Jeżli życie zupełnie jeszcze nie zgasło, tedy utworzy się w ranie pęcherz, chociażby chory w letargu żadnéj już nie miał czułości. Jeżli zaś istotna śmierć nastąpiła, pęchérz się nie pokaże.

Ogromny orzeł. Nad rzeką Mur, w niższéj Styryi, ubito niedawno ogromnego orła z rodzaju łomignatów. Rzucił on się na psa legawego, który właśnie dziką kaczkę z wody wynosił, a gdy myśliwy kaczym śrótem do orła strzelił i tylko lekko go ranił, uderzył tenże na myśliwego, i dopiéro grubszym nabojem ugodzony, padł nieżywy. Piękny ten ptak, większy niż jakikolwiek egzemplarz tego rodzaju w najsławniejszych zbiorach ornitologicznych, wzbudził powszechną uwagę, témbardziéj, iż takowy w owych okolicach do nadzwyczajnie rzadkich zjawisk należy.

Ludność państwa rosyjskiego miała się, według doniesień pism zagranicznych, od lat kilku wznieść nadzwyczajnie. Najnowsze obliczenia wykazują 65 milijonów mieszkańców, z których przeszło 54 milijonów przypada na Rosyję europejską, prawie 5 milijonów na królestwo Polskie, 1 1|2 mil. na Inflanty, a reszta na prowincyje Kaukazkie, Syberyję i Rosyję amerykańską.

Sceny z pożaru w teatrze w. książęcém w Karlsruhe, o którym w zaprzeszłym numerze nadmieniliśmy. Niektóre z tych scen były okropnie przerażające. I tak np. następna: Pewien czeladnik kominiarski wspina się po drabinie przystawionéj zewnątrz budynku, ku jednemu z wyższych okien, i postrzega wewnątrz, w ciasnym zakątku galeryi, kilkanaście osób, ściśniętych w jeden kłąb ciasny, jakby się wzajemnie zakąsać i pochłonąć chcieli. W około tego kłębu buchają jasne płomienie; okropny wrzask nieszczęśliwych zagłusza syk i prysk ognia, łomot walących się belków, wrzawę uciekających tłumów. W téj ostatecznéj chwili postrzegają oni wybawczą postać kominiarza, i siłą się dostać ku oknu. Jakby rój obłąkanych, chwytają się wszyscy ściany, aby się po niéj wedrzeć na górę — daremnie! Biedny kominiarz radby z duszy ratować, lecz nie może, i w téjże chwili widzi, jak wraz z załamaną galeryją, cały ten kłąb ludzi z okropnie przeraźliwym krzykiem w płonące morze płomieni leci. Ucieka czémprędzéj po drabinie, i pada prawie bez życia z przerażenia. Jeżli podobne sceny serce rozdziérają, tedy w innych, dziwny jakiś zbieg okoliczności pobudza mimowolnie do zastanowienia się nad niektóremi pozornémi drobnostkami, a właściwie nieodgadnionémi tajemnicami żywota. I tak, babka pewnego, wiele rokującego chłopca, chcąc wnuczkowi swojemu przyjemność sprawić, pozwala mu w towarzystwie starego sługi pójść do teatru. Ale chłopczyna woli zostać w domu, i tylko obawa sprzeciwienia się wyrażnemu życzeniu babki, skłania go być jéj posłusznym. Stary sługa prowadzi go do teatru, sadza w dobrém miejscu, lecz musi dla załatwienia pilnych sprawunków odejść, przyrzekając jednakże, wkrótce się wrócić. Chłopczyna rzuca mu się z płaczem na szyję, i prosi go o serdeczny pocałunek — ostatni! Sługa odchodzi, a chłopczyna zostaje, i już więcéj nie wraca. — Inny znowu chłopiec ocalał, lecz matka mu zgorzała, po-

szedłszy do teatru, mimo gorących prośb synka, aby dziś z domu nie wychodziła.— Z pomiędzy rumowiska dobywają rękę w białej glansownej rękawiczce, a w niéj konwulsyjnie ściśnięty — nie upominek miłosny — ale kilkudukatowy banknot, zapewne w nagrodę ratunku przeznaczony!

**Z życia ministra Pitta.** Pitt pobierał nauki w Oxfordzie i był nadzwyczajnie pilnym. Zostawszy w bardzo młodym wieku ministrem, udał się jednego razu do Cambridge, gdzie mu wszyscy najuniżeńszą czołobitność składać spieszyli, jako mężowi, który teraz tłustémi prebendami i biskupstwami rozrządzał. Stosownie do angielskiego zwyczaju musiał Pitt najprzód udać się na kazanie, do którego kaznodzieja, człowiek z dowcipem i humorem, wybrał godło z św. Jana (VI. 9.): »Jest tu chłopczyna, który ma pięć bochenków jęczmiennych i dwie ryby, lecz czemże to dla tak wielu!»

**Zdolność głuchoniemych.** Wiekopomnej pamięci *abbé* de l'Epée był, jak wiadomo, pierwszym, który z bezprzykładnem poświęceniem zajął się rozwinięciem umysłowych zdolności głuchoniemych, i ośmielił się utrzymywać— czemu jednakże nikt w ówczas wierzyć nie chciał — iż za pomocą pewnéj wyrozumowanej metody naukowéj, można tym nieszczęśliwym dać jasne i dokładne wyobrażenie o wszystkiém, prócz o muzyce. Mimo rzeczywiście wzniosłych pojęć tego męża o sposobie wychowywania głuchoniemych; został przecież ten sposób dotąd tak dalece rozszerzonym i wydoskonalonym, iż nawet ów uczyniony przezeń wyjątek, dziś bezzasadnym się okazał. I dziedzina muzyki nie jest głuchoniemym bynajmniéj tak niedostępną, jak to *abbé* de l'Epée mniemał. Dowodem tego jest dzieło o muzyce, które niedawno pewien głuchoniemy, nazwiskiem Gazan, syn jenerała tegoż imienia, napisał, a w którem bardzo trafne postrzeżenia o kształceniu się i rożnicy tonów czytamy. W ogólności było wielu uczonych i artystów głuchoniemych. Przytoczymy tu tylko kilku Francuzów, którzy jużto umiejętnemi jużto artystycznemi pracami się wsławili. I tak Paweł de Vigan, był tak znakomitym matematykiem, iż akademija umiejętności osobne sprawozdanie o jego pismach przedłożyć sobie zleciła. Jako znakomici, wszechstronnie ukształceni autorowie zasłynęli Ferdynand Berthier i Claude Forestier, podczas gdy Pelessier i Chatelain utworami poetycznemi się odznaczyli. Nie brak też malarzów i malarek, któremibyśmy nasz poczet powiększyć mogli. Dość będzie wymienić tu malarza historycznego Lousteau i pannę Robert; pierwszy wyszczególnił się tak świetnie w swoim zawodzie, iż w r. 1842 otrzymał złoty medal za malowidła przesłane na wystawę sztuk pięknych; panna Robert zaś należy do najznakomitszych uczennic Girodet'a.

**O małżeństwach żołnierzy algierskich** opowiadał deputowany Dufaure na posiedzeniu izby francuzkiéj, następną ciekawą historyjkę: Niedawno przypłynęło z Algieru pięcinset żołnierzy do Tulonu, gdzie ze wszystkich okolic Francyi pięćset gotowych do zamęzcia dam się zebrało. Można sobie wystawić, iż wzajemne oględziny i wybór małżonków, nie bez gorszących scen się obeszły, a z jednéj i drugiéj strony widać było srogą walkę o pierwszeństwo. Wszakże o, dziwy, ze wszystkich pięciuset ochotniczek do stanu małżeńskiego, tylko jedna na koszu osiadła, a dla wynagrodzenia jéj, obdarzono ją kwotą 600 franków, które jéj do znalezienia sobie gdzieindziéj męża, posłużyć miały. W końcu jednakże pokazało się, iż ta biedaczka była ze wszystkich najszczęśliwszą, gdyż po sześciu miesiącach, skoro wypłacone przez rząd pieniądze posagowe się rozeszły; wszystkie te wierne małżonki, do innych żołnierzy poprzystawały. — Szanowny p. Dufaure ręczy za prawdę tego zdarzenia, a zatém trudno nie wierzyć.

**Żarty irlandzkie.** »Pewien Murzyn był tak czarnym, iż za jego wejściem na dziedziniec, kury szły na spoczynek, ponieważ rozchodzącą się od niego ciemność, miały za skutek zachodu słońca. — Pewien włościanin miał tak ostrą kosę, iż podczas nocy miesięcznej zawieszona na gałęzi, przechodzącemu człowiekowi cieniem swoim nogę odcięła. — Pewien lekarz był nadzwyczajnie biegłym w leczeniu głuchoty. Jednego razu powiodło mu się tak szczęśliwie przywrócić słuch jednéj z swoich pacyjentek, iż ona, która przedtém na najbliższy i najgłośniejszy stuk, zupełnie głuchą była; teraz, nazajutrz zaraz, o swoim w Australii bawiącym małżonku, usłyszała.

**Ścisły wykład prawa.** Przed sądem angielskim w Reading, uwolniono przed niedawnym czasem kobietę, zapozwaną o bezprawne łowienie źwierzyny, dla tego, że w ustawach karnych o tém przestępstwie, używany jest zawsze zaimek męzki »on«, a zatém ustawy te, do kobiet stosowanémi być nie mogą.

**Dwakroć zmarły.** W pewném małém miasteczku umarł młody, bezżenny rzemieślnik. Dwóch jego przyjaciół poszło do burmistrza z prośbą, aby zwykłym sposobem śmierć jego w dotyczących aktach zapisał. Wszakże po godzinie przybiegli ciż sami przyjaciele jeszcze raz do burmistrza, cofając swoje poprzednie doniesienie, ponieważ ich towarzysz zapadł był tylko w letarg, a teraz znów się przebudził. Burmistrz założył na nos okulary, otworzył księgę, i wpisał w stosownéj rubryce: umarł przez pomyłkę. — Lecz i temu jeszcze końca nie było, gdyż wkrótce wrócili owi dwaj towarzysze chorego, donosząc, iż przyjaciel ich teraz rzeczywiście już umarł. Burmistrz spojrzał z surową powagą na czeladników, ledwie nie myśląc, czy sobie z niego żartów nie stroją; lecz usłyszawszy, iż rzecz ma się tak w istocie, do poprzednich słów: »umarł przez pomyłkę« — dodał: »umarł po raz drugi.«

**Machiny wreszcie wszystko zastąpią.** Pisma amerykańskie głoszą, iż pp. Clay i Rosenburgh z Nowego Jorku, ukończyli właśnie machinę, za pomocą któréj dwóch mężczyzn i trzech chłopców, pracę dziesięciu najbieglejszych zecerów wykonywać są w stanie. — Nie długo potrwa, a jeszcze którykolwiek z tych panów Amerykanów wynajdzie machinę do myślenia, któréj potrzeba u wielu klas społeczeństwa istotnie czuć się daje.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.